Nr 19. Kraków, 9 Maja 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 »

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

Postawmy rzecz jasno.

Krakus wyszedł już w 18 numerach, i dotąd nigdy nikogo nie zaczepił, z nikim nie prowadził sporu, bośmy to z góry sobie powiedzieli, że będziemy dawali chleb a nie zakalec, naukę, a nie swary i kłótnie. Milczał więc *Krakus* na wszelkie zaczepki i cierpliwie znosił nawet potwarze i podejrzenia, a jeśli dziś daje odpowiedź, to tylko dla tego, żeby raz na zawsze postawić rzecz jasno, jak tego jeden z redaktorów żąda.

W Cieszynie na Szlązku wychodzi *Dzwon*, którego redaktor aż cztery wydaje pisma, a *Krakus* mu widocznie spać nie daje. Może się boi, żeby nie stracił abonentów i chleba. Wedle niego lud ma być karmiony „mlekiem“ a „nie chlebem z pańskich stołów“ i „nie potrawami uczonych kuchmistrzów“ ale miodem i mlekiem narodowym, odpowiednim duchowi ludu.

To mi bardzo dziwno, bo każdy katolik modli się w pacierzu o chleb powszedni, a chłop ma się modlić o miód i mleko, zaś chlebem z pańskich stołów, to już całkiem ma się brzydzić? Ja myślę, że jeden chleb jadają wszyscy ludzie, od cesarza do żebraka, i o jeden Pana Boga wszyscy proszą, a dla czegoby chłopu miał być taki chleb niesmaczny, który pochodzi z pańskiego stołu? Jedna jest też tylko prawda i jedna nauka, a podobno i chłop więcej się nauczy od uczonego i mądrego, niż od takiego co się sam niedouczył i myśli, że dla chłopa dosyć umie nawarzyć mleka.

Dawniej gniewał się ten redaktor, że panowie nic nie czynią dla oświaty ludu, więc panowie wzięli to sobie do serca, złożyli pieniądze, żeby było za co porządne pismo wydawać, a teraz znowu się ten redaktor gniewa i mówi, że lud nie potrzebuje chleba z pańskich stołów. Jak tu ludziom dogodzić? — Ale chłop nie taki głupi, i dla tego *Krakus* coraz więcej się szerzy i coraz więcej otrzymuje listów od chłopów z podziękowaniem i uznaniem. To też pewnie p. redaktora *Dzwonu* najbardziej gniewa, bo jemu się zdaje, że on zadzierżawił sam wyłączne prawo do oświecania ludu i katolicką wiarę, tak że nikomu nie wolno ludowego pisma wydawać, a każdy jest katolik „blady“ komu ten redaktor nie wystawi świadectwa na katolicyzm czerwony.

To przytem najdziwniejsza, że p. redaktor nie zdołał w 18 numerach *Krakusa* niczego znaleźć, coby można zaczepić, lub jaki błąd wytknąć, bo pewnie czytał pilnie i uważnie. Więc też tylko ogólnie gani i potępia, i dowodzi, że za kilka lat nasi biskupi się przekonają, że zawcześnie *Krakusa* polecili, z tej racyi, że go założyli ludzie „miłujący Wiarę i Ojczyznę“.

Co za kilka lat będzie, tego sam p. redaktor nie wie, boć przecie nie wieszczy, ale ja mu mogę przepowiedzieć, że za kilka lat będzie miał *Krakus* więcej abonentów, niż jego wszystkie cztery pisma razem.

Gniewa się też p. redaktor na duchownych, że nie wszyscy po jego stronie stają, a najbardziej zagniewany na mnie i pisze że „najsmutniejszą rolę odgrywa ten który w *Krakusie*, pod nazwą Jakóba z pod Wawelu oddał—zapewne nie bezinteresownie,—swoje pióro, aby służyć sprawie — nie ludowej“. A w obec tego musimy rzecz postawić na jasno.

Z wielkiem zdziwieniem dowiedziałem się, że ja odgrywam rolę, bom ja na żadne granie nigdy czasu nie miał, a jeszcze bardziej mi dziwna, że smutną mam grać rolę, kiedy ja, dzięki Bogu, zawsze jestem wesoły, a smutek odganiam od siebie tem, że zawsze uczciwie pracuję.

To smutne granie moje ma polegać na tem, żem się niby zmienił „w sferze krakowskiej,“ bom niby dawniej pisywał do *Wieńca* a teraz *Krakusowi* oddałem pióro i stałem się „pańskim adwokatem“ i wszystko chwalę, „nawet czarne wąsy hr. Taaffego“.

No, co się najpierw tych wąsów tyczy, tom ich tak dalece przecie nie chwalił, skorom pisał, że są farbowane, a niczegom też jeszcze nie miał czasu chwalić, bom przecie dopiero w listach z Rady państwa zaczął opisywać otwarcie i początek. Ja myślę też, że ten kto dla ludu pisuje, nie wszystko potrzebuje ganić, i że może też pochwalić, co pochwały godne,

chybaby musiał nasadzić na nos czarne okulary, i na wszystko patrzeć czarno, jak to p. redaktor czyni.

Co się zaś tyczy tego nowego urzędu „adwokata pańskiego,“ to przecie sam p. redaktor w tym samym artykule dowodzi, że szlachta nie potrzebuje „adwokatów w sutannie,“ bo ma dosyć obrony. Pocoby mnie więc było brać nowy urząd, kiedy nie potrzebny: ani mnie, bo mam swój, dosyć zaszczytny i donośny, ani im, bo mają dosyć obrony?

Najdziwniejsza przytem, że ja miałem się „w sferze krakowskiej“ zmienić. Wiem ci ja, że się księżyc zmienia cztery razy na miesiąc i mój księżyc na łysinie z pierwszej kwadry ku pełni coraz bardziej idzie, ale na nów już się pewnie nie obróci. I ja też jużem za stary, żebym się zmieniał, a nadto przyszedłem do Krakowa z Wielkopolski, gdzie każdy uczciwy człowiek: czy ksiądz, czy szlachcic, czy mieszczanin, czy chłop — doskonale to rozumie, że w naszej nieszczęśliwej ojczyźnie potrzebna jest wzajemna zgoda stanów i wyrozumiałość, a kto sieje waśń społeczną i podjudza jeden stan na drugi, ten czyni rzecz miłą wrogom, ale nie Panu Bogu i narodowi.

Jakom długie lata uczył chłopów polityki, tak i teraz w *Krakusie* zacząłem pisać poglądy polityczne p. t. „Ze świata,“ a pisywałbym jeszcze, gdyby mi czasu na to starczyło. Nie mógłem więc tego powiedzieć redaktorowi *Wieńca*, co mi w usta kładzie p. redaktor *Dzwonu*: „na co chłopu polityka?“ — bo jestem wręcz przeciwnego zdania, a na pamięć owego redaktora wcale liczyć nie mogę, bo właśnie dał dowód krótkiej pamięci. Mija się bowiem z prawdą, kiedy twierdzi, że ja pisywałem do *Wieńca*, albo raczej kota w miechu przewraca. Jako żyw nie pisałem do *Wieńca*, tylko p. redaktor odpisywał moje artykuły z chełmińskiego *Przyjaciela ludu*, a czynił o tak delikatnie, że nawet nie powiadał zkąd je bierze. Więc ja nawet pisałem mu wówczas list, w którym zapytywałem: kolego i bracie, czemu nie podacie, zkąd te artykuły macie? Alem się nie sprzeciwiał bynajmniej, bo te artykuły miały tytuł: „jak bywało za dawnych polskich czasów?“ Więc coś mi się widzi, że to p. redaktor się teraz zmienił, a nie Jakób z pod Wawelu, który tak w Poznaniu, jak w Krakowie chwali to, co godne chwalby, a nie krzywdzi i nie hańbi niesprawiedliwie w czambuł całego stanu, który Prusacy stu milionami chcieliby w Wielkopolsce wykupić i wygubić, bo widocznie im zawadza.

Jeszcze w jednem nie dopisała p. redaktorowi pamięć, kiedy mi przypomina „wiec w Krakowie.“ Przybyło nas r. 1879 blisko tysiąc chłopa, a kiedy ja przemawiałem w ogrodzie Strzeleckim drugiego dnia, na wiecu, to sam p. redaktor mi poddał myśl, abym mówił przeciwko kandydaturom chłopskim, choć to chłopi wielkopolscy dawno wiedzą i wiedzieli. Im też tego wykładać nie potrzebowałem.

Więc znowu mi się widzi, że to nie *Jakób z pod Wawelu* się zmienił, tylko p. redaktor inaczej na świat patrzy i sam stawiał świeże kandydatury. Ba, ja nawet się obawiam, że miewa gorączkę i jakieś widzenia senne, skoro mi zarzuca, że się „ubiegam o mandat poselski przy pomocy pieniędzy i bagneta“: bo ja przecie tyle pieniędzy nie mam, żeby kupić 518 głosów, a bagnet tam doprawdy był niepotrzebny, gdzie nas było trzech kandydatów i wyborcy mogli dowolnie wybierać,

Przygoda w podróży.

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia

przez Stacha z Zamiechowa.

(Dokończenie.)

W chwilę potem wszedł szynkarz do karczmy.

— Nie odszukaliśmy pańskiego furmana — rzekł do mnie — uciekł zapewne, albo go wilki zjadły. Ale już kaganek się dopala, łoju więcej nie mamy; czas żebyś i pan poszedł spać. Po drugiej stronie, w osobnej komnacie, kazałem nasłać siana. Niech pan ze mną idzie. To mówiąc, wziął ze stołu kaganek i drzwi mi otworzył.

Nie byłem w stanie nic odpowiedzieć. Wdziawszy futro, wziąłem strzelbę do ręki, poszedłem za nim. Przeszedłszy sień, otworzył mi lichą izdebkę, kaganek postawił na stół i oddalił się, życząc mi dobrej nocy. — Sam więc zostałem.

Znalazłem w tej izbie stolik mały, na którym stał kaganek, a obok stolka tapczan sianem zasłany i grubem prześcieradłem okryty. Piec trochę ogrzany był w kącie naprzeciw małego okna.

Tu położenie moje stanęło mi w myśli w całej swojej grozie.

Słowa małej dziewczyny stanęły mi w pamięci. Wątpić nie mogłem, żem wpadł między zbójów, że mój furman już zginął z ich ręki i że mnie ten sam los czeka.

Jednak przytomność i odwaga nie opuściły mnie. Zacząłem myśleć nad sposobem ocalenia. Opatrzyłem moją rusznicę. Jeden tylko strzał miałem, kartuzę zaś z ładunkami miał na sobie mój lokaj, który został na drugich saniach. Najprzód przyszło mi na myśl wyjść oknem, które wszakże kołkami było mocno przybite ze dworu. Patrzyłem przez pół zamrożone tafle. Postrzegłem na przyzbie pod oknem leżącego czarnego kundysa, który byłby mnie wydał uciekającego. Inny więc sposób ratunku trzeba było wynaleść. Tu jak przelo-

skoro p. notaryusz Michałek i p. adwokat Dziewoński dostali także po 30 i kilka głosów, a bagnetem nikt nie został przebity. Szkoda, że p. redaktor nie pamięta, że sam drukował jako dodatek do *Pszczółki* moje sprawozdanie poselskie, a to przecie moi wyborcy lepiej pamiętali, żem im cztery razy sprawę zdawał z poselstwa mojego i dlatego mnie posłem na nowo wybrali.

Sz. redaktorowi nie podoba się i to, że ja „chłopom piszę o cierpcowem zielu“, ale mnie się właśnie widzi, że to ziele bardzo jemu potrzebne, bo byłby wiele złego i nieprzyjemnego uniknął, gdyby był choć trochę cierpliwszy. A toć to i Pan Jezus uczy: „w cierpliwości waszej posiądziecie dusze wasze.“ Ja też cierpcowego ziela zażywałem, kiedy mnie p. redaktor od dosyć dawnego czasu publicznie hańbił a niesprawiedliwie, i teraz byłbym milczał, gdyby nie zarzut krzywdzący, a rzucający podejrzenie na mój charakter, żem oddał swoje pióro *Krakusowi*, „zapewne nie bezinteresownie,“ bo to po prostu znaczy, żem się za pieniądze sprzedał.

No, na to mógłbym odpowiedzieć przysłowiem, że jakiej kto smaki, myśli że każdy taki, ale wolę oddać za złe dobrą radą. Ja nigdy w życiu nie robiłem długów, więc też nigdy sprzedawać się nie potrzebowałem, choć w Prusiech płacili Prusacy dobrze takim, którzy się sprzedać chcieli. Teraz mam, dzięki Bogu, chleb dostatni, a długów nie mam, więc mi nawet nikt kupna nie ofiarował. Ale kiedy się *Krakus* zakładał, przyszedł do mnie jeden z najszlachetniejszych ludzi, jakich posiada Polska, jak długa i szeroka, i mówił: Jakóbie, pomóżcie nam w tem, jako że jesteście majster w takowem pisaniu znany i doświadczony — to ja, poskrobawszy się po łysinie, odpowiedziałem: Bogu chwała, że się do tej roboty bierzecie, a choć doprawdy mam pracy innej po same uszy, to kiep byłby ze mnie, gdybym głupie dąsy stroił, a nie pomagał w uczciwej pracy.

W ten sposob oddałem swoje pióro *Krakusowi*, a jeśli p. redaktor myśli, żem na tem zrobił jaki interes, to mu powiem na ucho, że choćbym mu wszystko oddał, to jeszczeby mu nie starczyło ani na tę pielgrzymkę do Ziemi świętej, ani podróż do Ameryki, dokąd się także podobno wybiera.

Co napisawszy, aby czernidło na mnie nie zostało, proszę p. redaktora, żeby sobie mojem nazwiskiem zębów nie wycierał, bo dobre imię każdemu człowiekowi drogie, a ja na nie pracuję uczciwie: i prześladowaniem, którem ponosił, i pracą, którą chcę przyczynić Bogu chwały a braciom pożytku.

Jakób z pod Wawelu.

Dr Karol Marcinkowski i Pomoc naukowa w Poznaniu.

Zadaniem *Krakusa* jest zaznajamiać swych Czytelników ze wszystkiem, co się po szerokim dzieje świecie, z tem mianowicie, co bliżej nas Polaków dotyczy. Zbyt często smutne tylko przychodzi nam podawać odglosy, bądź ucisku jednych braci naszych, bądź błędów drugich; to łza spółczucia popłynie, to znów za siebie i za innych wypadnie w piersi się uderzyć; rzadko pomyślniejszy odgłos lub wieść weselsza w piśmie się naszem pojawi. Tem ochotniej dziś zamieszczamy opis pięknej uroczystości, święconej w Pozmaniu na dniu

---

tem myśl szczęśliwa mi przyszła do głowy i nie tracąc czasu, wziąłem się do jej wykonania.

Przymknąłem drzwi mocno i z łoskotem. Zaczepiłem je na haczyk; a niżej haczku we drzwiach umieszczony otwór zatkałem papierem. Kaganiec zgasiłem, a że księżyc świecił przez okno, wziąłem wieko ze stołu i okno niem zatkałem. Potem zdjąłem czapkę z głowy, wypchałem ją sianem z tapczana, a niżej przywiązałem to siano chustką, którą z szyi zrzuciłem. Tak przyrządzoną czapkę położyłem na łóżko i przykryłem ją futrem. Obuwie zdjąłem i pod futro buty wsunąłem tak, że się zdawało widać nogi śpiącego z pod nakrycia. To zrobiwszy, wieko stołu od okna zdjąłem i stanąłem za piecem ze strzelbą w ręku, śmiało czekając dalszego wypadku.

Cichość panowała głęboka — serce we mnie gwałtownie biło. Oddech przytłumiłem i może z godzinę w tej postawie nieporuszony stałem na miejscu. Cisza powszechna. Księżyc jasno świeci — czasem tylko lekkie chmury na chwilę zasłaniały jego tarczę. Już wystawiałem sobie, żem się próżną uwiódł bojaźnią, że dziecię samo nie wiedziało, co wyrzekło; gdy nagle słyszę, że się do drzwi mojej izdebki ktoś zbliża cichaczem. Po chodzie zdawało się, że dwóch ludzi na palcach idzie. Zbliżyli się do drzwi i znowu wszystko ucichło. W minutę potem słyszę, iż żelazkiem wytrącono papier, którym dziurkę zatkałem i tem żelazkiem haczyk z lekka podniesiono. Drzwi się otwierają zwolna. Widzę, że na palcach wchodzi karczmarz i w wyciągniętej prawej ręce trzyma długi nóż. Zbliża się uważnie do łóżka i nóż podnosi... Obrócony był plecami do mnie — i w chwili kiedy podniesionym nożem miał ugodzić w moje futro, wziąłem go na cel i — strzeliłem. Ugodzony w same krzyże padł, wołając przeraźliwym głosem: „Ach rozbójnik!“ Wyskoczyłem z miejsca mego; drzwi znowu na haczyk zamknąłem, podniosłem nóż, który zbójca z ręki wypuścił i stanąłem przy drzwiach w zamyśle bronienia się nim, jeżeliby który z jego wspólników chciał wejść do izby. Pół godziny może stałem w tej postawie. Zbójca wił się przez kil-

20 i 21 kwietnia b. r., dla uczczenia jubileuszu Towarzystwa Naukowej pomocy i pamięci jej założyciela, Dra Karola Marcinkowskiego.

Jeżeli słusznem jest, abyśmy poznali ziemie i grody polskie, dla tem większego przywiązania się do ojczyzny naszej, niemniej słusznem i pożądanem jest, abyśmy znali też zasługi znakomitszych mężów, jakich Pan Bóg użyczył narodowi naszemu w dniach próby i nieszczęścia. Do rzędu najlepszych i najzacniejszych zaliczyć wypada Dra Karola Marcinkowskiego, którego życie w kilku słowach opowiem. Urodził on się z początkiem bieżącego stulecia, bo w roku 1800, w Poznaniu, z ubogich rodziców, ojciec jego bowiem trudnił się to warzeniem piwa, to furmanieniem, matka zaś rychło owdowiawszy, otworzyła traktyernię i z pracy własnej usiłowała kilkoro dzieci wychować na ludzi. Że zaś syn jej Karol najwięcej okazywał zdolności, oddała go do szkół poznańskich, które świetnie ukończył, nieraz sobie zdobywając celujące stopnie i nagrody, przez co dobrej matce największą sprawiał pociechę. Złożywszy maturę, za pomocą pewnego obywatela poznańskiego młody Marcinkowski udał się do Berlina i tam się uczył medycyny, aby jako lekarz skończony do rodzinnego wrócić miasta. Ale niedługo zrazu w Poznaniu pracował, bo na wiadomość, że w Warszawie wybuchło powstanie i zaczęła się walka o niepodległość w r. 1830, natychmiast wstąpił do wojska polskiego i podwójną w niem pełnił służbę: lekarza i żołnierza, z równem poświęceniem i męztwem. Gdy po bitwie współtowarzyszysze wypoczywali, on obiegał pobojowisko, opatrywał rannych, cieszył konających, dla każdego miał pomoc gotową. Odznaczony krzyżem cnoty wojskowej za walecznośc, wkrótce z nowym się nieprzyjacielem zaczął potykać. W owym to roku wojny po raz pierwszy się w naszych stonach pojawiła nieznana przedtem zaraza, cholera. Odtąd wiele straciła na sile i niebezpieczeństwie, z początku jednak tak była straszną, iż ludzie padali jak muchy. Doktorzy nie mieli odwagi wystawiać się na zarazę. Marcinkowski zawstydził ich własnym przykładem nieustraszonego męztwa. Pierwszy też lepiej poznał tę obcą przedtem chorobę, nauczył w jaki sposób leczyć ją wypada i tak mądrze o niej pisał, że mu przyznano w Paryżu złoty medal nagrody.

A tymczasem wojna z Rosyą się zakończyła smutną przegraną sprawy polskiej. Wojsko narodowe poszło w rozsypkę, zniknęły nadzieje szczęśliwszej przyszłości, mnóstwo naszych poszło na tułaczkę, między innymi i Marcinkowski. Kilka lat spędził on wtedy za granicą, kształcąc się dalej w sztuce lekarskiej, a następnie powrócił do Poznania, gdy mu jeden z jego przyjaciół doniósł, że tam ubodzy bardzo za nim tęsknią. Odtąd zaczął się najpiękniejszy okres jego życia. Przedewszystkiem był lekarzem ubogich i maluczkich; co tylko od bogatszych otrzymał pacyentów, wnet rozdzielał między biedniejszych. W aptece płacił corocznie ogromne sumy za lekarstwa przez się zapisywane ubogim chorym, udzielając bezpłatnej porady i jeszcze dostarczając im kosztownych nieraz leków. Co tylko jedną ręką zarobił, drugą rozdawał. Ilekroć jaki biedak zapukał do drzwi jego, nigdy na siebie czekać mu nie dał, powtarzając: „Czas ubogiego droższy aniżeli mój.“ Nietylko poznańskich odwiedzał i ratował chorych. Wołano go na wszystkie strony wielkopolskie, gdzie uchodził słusznie za najpierwszego lekarza. Najdalsze, kil-

---

ka minut po podłodze, nim nareszcie ducha wyzionął. Krew z niego płynęła obficie i całą izbę zbroczyła. Kundel wył przeraźliwie na dworze i drapał się w okno.

Już było po północy, gdy usłyszałem, że drzwi zajezdne od karczmy otworzono ze środka i po dźwięku moich uprzęży domyśleć się mogłem, że ktoś uciekł na moich saniach. Zatarasowano drzwi z nadworu; zapewne abym gonić nie mógł. Jak tę okropną noc spędziłem, sam jeden z tym skrwawionym trupem, łatwo się domyśleć. Piec wystygł zupełnie i uczułem przykre zimno. Prócz tego niepokój, trwoga i bezsenność w taką mnie wprawiły gorączkę, żem pragnienie czuł niewypowiedziane. Szklankę wody wtedy byłbym na wagę złota płacił. Wyjść z izby nie śmiałem, a w niej żadnego nie było napoju. Taką piekielną męczarnią znużony zbliżyłem się do okna i począłem chwytać ustami szron na szybach osiadły. Spostrzegłem też, że odzież moja jeszcze od wczorajszego wypadku była mokra, wycisnąłem z niej kilkanaście kropel, które mię także nieco orzeźwiły.

W podobnych mękach od północy aż do pory, gdy dnieć zaczęło, przetrwałem siedm wiecznych godzin. Gdy zaświtał ten dzień pożądany, wybiłem kolbą okno i patrzeć zacząłem wokoło. Dzień nastawał jasny. Słońce purpurowym blaskiem złociło nawiane opodal śniegu mogiły. Już izdebka moja była oświecona. Co za przerażający w niej widok! Na podłodze krwią zbroczonej leżał ten karczmarz przeze mnie zabity. Czapka spadła mu z głowy — włosy rude we krwi zwalane jeszcze okropniejszą twarz jego czyniły. Oczy miał otwarte; jednę rękę po za siebie zawrócił, właśnie jakby się chciał uchwycić w to miejsce, gdzie strzał odebrał, drugiej skurczone palce zacisnął między szpary desek podłogi. Ze wstrętem odwróciłem oczy od niego i przystąpiłem znowu do okna. Tu spostrzegłem kilku chłopów, którzy przy parokonnych szli podwodach i może o trzysta kroków od tej karczmy byli oddaleni. Wyskoczyłem oknem i biegłem ku nim. Musieli się mnie przestraszyć, gdym się do nich zbliżał, bo spostrzegłem, że dwóch zaczęło uciekać. W rzeczy samej postawa

kunastomilowe wycieczki odbywał zawsze konno, najczęściej w nocy, ażeby drogiego zaoszczędzić czasu. Zdrowie jego coraz było lichsze, okrutny ból w nodze mu dokuczał, a jednak nie ustawał w trudach, powtarzając, iż mu ani jeść ani spać nie wolno, dopóki powinności całej nie dopełni i zadania dnia nie skończy. Taką ku sobie wzbudzał miłość, iż gdy raz z Poznania na dłużej wyjechał, chorzy po szpitalach podnieśli wielki lament i tak rozpaczali nad swem osieroceniem, że kapelan miejscowy musiał im przypominać, iż przecie Bóg ich nie opuści i Opatrzność nad nimi czuwa. Przyjaciele Marcinkowskiego nieraz mu wymawiali, że zbytnio szafuje siłami swemi i groszem, że zdrowie straci a na starość żadnego sobie funduszu nie zbierze. Tłómaczył im się, iż już Pan Bóg taką chuć wlał w serce jego, że co ma to zaraz rozdać musi na cele pożyteczne i potrzebne. Nietylko zaś sam oddawał wszystko, co posiadał, ale umiał też swoich współobywateli wciągać do wspólnej pracy i czynności. Zawiązywał różne spółki, stowarzyszenia, aby popierać przemysł krajowy, ratować ubóstwo, dźwigać stan majątkowy Wielkopolski. Zachęcał współziemian do umiejętnego chodzenia koło roli, mnóstwo rzucał dobrych pomysłów, które nie wszystkie za jego życia się spełniły, ale prawie wszystkie później obfitem zeszły żniwem. Powtarzał ciągle, iż nieład, niedbalstwo i lenistwo rujnuje i kraj do upadku przywiodły, że więc poprawić się należy i dźwigać ojczyznę pracą i czynnym w różnych kierunkach zachodem. Śmierć przedwcześnie złamała niezmordowanego pracownika. Zanadto się trudził, za wiele służył, a w końcu i martwił, gdy nadeszły smutne wypadki z r. 1846. Rozwinęła się wtedy szybko w nim piersiowa choroba i wyjechawszy na wieś do przyjaciela, tam życie w listopadzie tegoż roku 1846 zakończył.

Ostatnią wolą się zastrzegł, aby mu najskromniejszy, ubogi sprawić pogrzeb i żadnym pomnikiem nie naznaczyć mogiły, wszystek zaś grosz, coby się u niego po śmierci znalazł, rozdać biednym. Usłuchano jego życzenia, zwłoki w drewnianej złożono trumnie, ale tysiące ludu wyszło na spotkanie swego dobroczyńcy, ale sam Arcybiskup poznański odprawił żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Karola, a wszystkie stany połączyły się w jednej żałobie po tak wielkiej stracie.

Stosując się do woli nieboszczyka, nie ustawiono pomnika na jego mogile, znajdującej się w Poznaniu na cmentarzu św. Wojciecha. Inny bo on sobie pomnik za życia zgotował, o którym poniżej Wam opowiem.

Syn ubogich rodziców, Marcinkowski, niemało musiał zażyć trudności, aby się wykształcić na lekarza, aby dokończyć szkoły i szczupłemi funduszami wystarczyć na długie i kosztowne nauki. Zażył wtedy biedy co nie miara, patrzał na ofiary matki, która wszystkiego sobie odmawiała, byle chłopca wykierować na człowieka. Później zaś nie byłby zapewne starczył własnemi zasobami na lekarskie studya, gdyby nie pomoc zamożnego obywatela, który mu pieniędzy na dalsze nauki dostarczył. W dalszem życiu nieraz sobie Marcinkowski wspominał owe ciężkie początki, a serce jego osobnem zapłonęło współczuciem dla ubogiej młodzieży, zmuszonej nieraz dla braku środków przerywać nauki lub zaniechać dalszego kształcenia. Zrazu osobiście dopomagał temu lub owemu, posyłał jednego i drugiego znajomego sobie chłopca do szkół lub warsztatów. Wkrótce się przekonał, iż wspólnemi siłami nierównie

---

moja była niezwyczajna. Blady, na pół odziany, w jednej ręce trzymając strzelbę, w drugiej nóż długi, szedłem wołając do nich; a żem nogi miał krwią zbroczone, więc za każdym moim krokiem zostawał na śniegu ślad zakrwawiony. Najodważniejsi z pomiędzy tych podwodników stanęli w kupie i koły, które powydobywali z sani podnieśli do góry. Uspokoiłem ich rzuciwszy im garść rubli, wołając żem podróżny i żem omal zabity nie został w tej karczmie przez karczmarza. Byli to ludzie z pogranicza Polesia; wieźli owies do Kijowa.

Wkrótce ośmielili się i poszli ze mną do karczmy, w której znaleźliśmy tylko pustki. Jeden z chłopów zbliżył się do zabitego karczmarza i poznał go, gdyż widywał go dawniej w Tatyjowie, gdy tam na trakcie także trzymał karczmę. Ponieważ jednak kradł konie, dziedzic kazał go wypędzić. Tymczasem drudzy włościanie znaleźli baryłkę wódki w komorze i zaczęli się częstować tą zdobyczą. Już oswoili się prawie z widokiem trupa; przyciągnęli podwody swoje do karczmy, a pijąc ochoczo konie pokarmić chcieli. Kilku poszło do sieni szukać siana, którego tam dość spory stożek znaleźli. Jeden garnąc siano, natrafił na coś żyjącego i z pod stoga wyciąga za nogi strętwiałe stworzenie. Patrzę... była to biedna dziewczynka, co mnie ostrzegła przed niechybną śmiercią.

Ze łzami uścisnąłem biedną sierotę, której życie byłem winien. Wziąłem ją pod futro i starałem się ogrzać. Długo z przestrachu słowa przemówić nie mogła. Nakoniec, przyszedłszy do siebie, opowiedziała mi, że usłyszawszy strzał w izbie i te słowa od parobka i karczmarki: Ach, Lach *chaziaina zabyw!* (gospodarza zabił) skryła się pod stóg siana w sieni i leżała tam strętwiała aż do tej pory. Zapytałem wtedy dziewczynę, czy ona córką, czy ona wychowaną była tego karczmarza? — Ach nie — odpowiedziała z płaczem — jechaliśmy już dawno temu z dziaduniem do Ruchowatej, gdzie mama mieszka; ale tu w nocy zabił karczmarz dziadunia, a ja zostałam u nich. Och, bili mnie codzień i jeść mi nie dawali. Płakałam często, ale już płakać nie będę, bo z panem pojadę.

więcej daloby się w tym kierunku zrobić, że gdyby się znalazło kilkudziesięciu obywateli gotowych corocznie płacić stałą składkę, możnaby ubezpieczyć biednym studentom pomyślne ukończenie nauk. Odezwał się tedy Marcinkowski do swych przyjaciół i znajomych i tak gorąco do ich serc przemówił, że odrazu z hojnym datkiem wystąpiło około stu panów wielkopolskich, zobowiązujących się w jego ręce składać rok rocznie po sto, dwieście i pięćset talarów. Pamiętacie zapewne historyę Piasta, nie zapomnieliście gościnności jego w Kruszwicy. Coś z tej hojności Piastowskiej przeszło dziedzictwem na mieszkańców Poznańskiego. Każda składka pomyślne tam odnosi owoce, każda niedola bratnia gotową wywołuje i to nieraz bardzo obfitą pomoc. A chcecie wiedzieć dlaczego głównie bywa ona tak obfitą? Oto dlatego, że nikt się od powinności jałmużny nie uchyla, nikt nie wstydzi dać mało, wedle miary i możności swojej. A gdzie wszyscy dają, chociażby po groszu, tam wnet znaczne rosną fundusze i z groszy powstają dukaty.

W dniu tedy 19 kwietnia 1841 r. Dr Karol Marcinkowski, widząc dobre serce i chętną gotowość swych współobywateli, we własnem mieszkaniu zgromadził ich dość znaczną liczbę i po zgodnej naradzie zawiązano *Towarzystwo Pomocy naukowej*, które w tych dniach święciło *pięćdziesięcioletnią* rocznicę swego założenia. Piękny to przykład wytrwałości w dobrem. Niebawem cała Wielkopolska przystąpiła do nowego stowarzyszenia. Ks. Arcybiskup Dunin wszystkich kapłanów zachęcał do udziału w tak pięknej sprawie i związał duchowieństwo poznańskie z losami Towarzystwa Pomocy naukowej. Jeżeli bowiem księża nie szczędzili grosza ni ofiary na ten cel szlachetny, z innej strony niemało ubogich chłopców, wychowanych kosztem Towarzystwa, poświęciło się służbie ołtarzy i przywdziało suknię kapłańską. Kiedy w latach prześladowania rząd pruski zamknął seminarya duchowne, a wypadło na obczyźnie kształcić i święcić księży dla Wielkopolski, *Pomoc naukowa* głównie im ułatwiła dalekie podróże i pobyty zagranicą, zkąd powracali, aby służyć Bogu i braciom swoim. Nic dziw, iż Towarzystwo naukowej pomocy błogosławi ofiarności duchowieństwa, a duchowni nawzajem chowają szczerą wdzięczność dla Stowarzyszenia, które im pozwoliło odpowiedzieć wyższemu powołaniu. Całe zresztą społeczeństwo wielkopolskie gorąco ukochało myśl i dzieło Marcinkowskiego. Oczywiście nie zawsze równe były dochody Pomocy naukowej i składki jej członków. W latach klęsk publicznych mniej obfite płynęły datki, aby raz po raz jaką znaczniejszą jałmużną się powiększyć, mianowicie przez zapisy pośmiertne. Żaden niemal znaczniejszy ksiądz nie umarł w ostatnich latach, żeby nie zostawić jakiej kwoty na rzecz pomocy naukowej. I świeccy nie dali się duchownym wyprzedzić, mnożąc legata i hojne fundusze zapewniając Marcinkowskiego dziełu. Z pośród tych mnogich i znacznych nieraz ofiar, osobna wzmianka należy się pewnej prostej ale zamożnej włościance, która niemal cały swój majątek wynoszący 60.000 marek, czyli trzydzieści kilka tysięcy reńskich oddała Towarzystwu naukowej pomocy. Dowód to najwymowniejszy jak wszystkie już stany w Poznańskiem umiłowały ten związek dobroczynny, który po upływie lat pięćdziesięciu wykazał z rachunków, iż wydał przez pół wieku czynności około *dwóch milionów marek*, za co 4335 młodzieńców otrzy-

---

Jeden z pomiędzy podwodników, słuchając opowiadania dziecięcia, zbliżył się i zawołał z płaczem:

— Ach! ach! to mojej pani córeczka, panna Helena, którą z panem sędzią Kalińskim temu dwa lata rozbójnicy napadli. A nie poznajesz-że panna Ostapa kozaka, co służył we dworze i pannę na ręku nosił? Oh co za szczęśliwe zdarzenie! Ach, jak jejmość będzie rada, gdy córkę obaczy, którą już za zgubioną uważała.

Stary Ostap nie mylił się. W rzeczy samej, ta mała dziewczynka była córką obywatelki z żytomierskiego powiatu. Dziad jej, sędzia Kaliński, u którego chowało się to dziecię, odwoził ją do matki, gdy na nocleg zajechawszy do tej karczmy został zabity. Kilku chłopów poświadczyło zeznanie Ostapa.

Kiedyśmy tem wszystkiem zajęci byli, jeden z podwodników, który był poprowadził konie do wody, przybiega przestraszony, mówiąc, że w płonce na stawie spostrzegł ciało rzuconego tam człowieka. Smutne przeczucie dało mi wnosić, że to musiał być mój furman. Poszedłem na to miejsce z podwodnikiem i dwoma chłopami; wyciągnęli trupa z pod lodu — był to mój furman. Miał głowę rozpłataną toporem i był obnażony.

Uroniwszy łzę nad tym biednym człowiekiem, prosiłem chłopów, aby go do karczmy zanieśli. Idę za nimi... zbliżamy się... patrzymy; lecz już nie widzimy karczmy. Oburzeni chłopi w okamgnieniu ten lichy budynek rozebrali do szczętu. Z dwoma trupami i małem dziecięciem musiałem na tych jedynych podwodach udać się do Skwiry. Sanie moje i ludzi zastałem w Skwirze. Małą Helenę wziąłem z sobą do Kijowa. Tam, zastawszy matkę tej nieszczęśliwej sieroty, oddałem jej dziecię, które było dla mnie wybawczym aniołem.

mało naukowe wychowanie i wyszło na ludzi użytecznych krajowi. Szkoda, iż nie mamy wykazu, ilu to księży, doktorów, prawników, nauczycieli, aptekarzy i t. d. z kolei otrzymało zasiłek Pomocy naukowej dla ukończenia szkół niższych i wyższych.

Corocznie kilkunastu studentów o wyższych zdolnościach i chlubnem postępowaniu odbiera stósowne z funduszów Towarzystwa zapomogi, aby się przebić przez trudności życia i początków każdego zawodu. Wystarczy między innymi przypomnieć, iż gdy Marcinkowski osiedlił się jako lekarz w Poznaniu, nie było tam ani jednego lekarza Polaka, a i na prowincyi sami bodaj żydzi i Niemcy uprawiali sztukę lekarską. Dziś Wielkopolska ma przeszło 150 doktorów Polaków, przeważnie wychowanych przez Pomoc naukową, stan kupiecki się podnosi, miasteczka pomimo ucisku polszczeją i dźwigają się z upadku, a żydzi się z nich wynoszą, zwykłym skutkiem rosnącej oświaty i ładu, przed czem Izrael stale się cofa i chroni, gnieżdżąc się raczej z upodobaniem w ogniskach nieporządku i ciemnoty.

Nie dziw tedy, że gdy przyszła 50 letnia rocznica tak dobroczynnego Towarzystwa, Wielkopolanie postanowili uroczyście tak chlubną obchodzić pamiątkę. Nie od dziś przyłączono imię Karola Marcinkowskiego do umiłowanego dzieła jego serca. Teraz zakrzątano się około odlania popiersia zacnego męża, wybicia medalów pamiątkowych, napisania żywota Marcinkowskiego, odnowienia jego żałobnej w kościele św. Wojciecha w Poznaniu tablicy. Że zaś wielką być musiała matka, co takiego syna wychowała, uczczono jej pamięć odpowiednim nagrobkiem w Buku, gdzie spoczęła na wieki. Sameż uroczystości jubileuszowe ściągnęły do Poznania wielką moc uczestników, a rozłożyły się na dwa dni, w poniedziałek i wtorek, 20 i 21 kwietnia b. r. Rozpoczęto obchód żałobnem nabożeństwem za duszę Karola Marcinkowskiego, następnie obradowano nad dalszem utrwaleniem Pomocy naukowej i zachęcano się wzajemnie do wytrwałości, obrazem błogiego działania i skutków półwiekowego związku, który tak piękne po sobie zostawił ślady i niemało się przyczynił do ochrony Poznańskiego przed germanizacyą czyli przymusowem zniemczeniem. Wieczorem wspólna uczta, oraz nadzwyczajne w polskim teatrze przedstawienie zgromadziło bardzo licznych uczestników jubileuszowego święta. Wszędzie, gdzie się odbywały te zebrania, ustawiano w środku sali popiersie Marcinkowskiego. Drugi dzień uroczystości poznańskich podobnież rozpoczął się od nabożeństwa, nie już żałobnego, lecz dziękczynnego za błogosławieństwo tak widoczne spoczywające na Towarzystwie Pomocy naukowej. W końcu owego nabożeństwa odśpiewano starodawną pieśń św. Wojciecha *Boga Rodzica Dziewica*.

Śliczne, pogodne były to dni, uspasabiające zaiste do wdzięczności ku Bogu, który nam raz po raz wśród ciężkich warunków życia, daje takich przywódców i przewodników jak Karol Marcinkowski. Piękną była jedność wszystkich stanów w tym obchodzie przypominającym zasługi ubogiego doktora, który cnotą i sercem dobił się wysokiej powagi i miru wśród swoich i całego wpływu użył ku dobrym i szlachetnym celom. A wraz i ta wdzięczność zwracała się ku innym dobroczyńcom, którzy po Marcinkowskim zajęli się jego dziełem i opiekowali się ubogą młodzieżą. Są wszędzie wichrzyciele, którzy próbują wsiać kąkol na zagon ojczysty, jedne stany przeciw drugim podżegając. Pięćdziesięcioletnie istnienie Towarzystwa Pomocy naukowej najlepszą daje odprawę tym niepoczciwym kusicielom, wskazując co może zgoda i jedność w działaniu. Zrazu głównie szlachta wielkopolska dostarczała potrzebnych na ten piękny cel funduszów, duchowieństwo rychło swego udzieliło poparcia i przez pół wieku wszystkie stany szły zawsze ręka w rękę, aby szerzyć oświatę i ułatwiać zdolniejszym synom ubogich rodziców korzystanie z wyższych nauk i ćwiczeń. Dziś Wielkopolska przeważnie stoi ludźmi wychowanymi kosztem Pomocy naukowej i błogosławić nie przestaje pamięci założyciela, przykładem jego utwierdzając się w wytrwałości.

Korespondencye „Krakusa“.

Z Dąbrowicy.

Łaska Pana naszego Jezusa i błogosławieństwo Jego niech wstąpi na Was wszystkich, którzy pracujecie przy tem piśmie dla nas wyłącznie wieśniaków poświęconem. Co tydzień dajecie nam coś nowego i pożytecznego, gdyż i ja czerpię z tego *Krakusa* całą garścią rozum, który pcham gwałtem do głowy. Gdzieta przyszło przedtem na myśl człowiekowi co to Rada państwa, co to lewica i prawica, a teraz wszystko wiem.

Nasza wioska ma prawie ten sam powab, jak wszystkie wioski w Galicyi zachodniej. Są lepianki nędzne, są i piękne chaty obsadzone płaczącą brzozą i wonną akacyą. Miasteczko nasze Szczucin ciche, nie wre tam życie głośne, huczące, ale jakby wszystko spało. Mamy Kółko rolnicze i Sklepik w dobrym stanie, a to wszystko za staraniem Wielmożnego doktora Karola Rudnickiego i Wielebnych Księży Ignacego Jaglarza i Augusta Nowickiego, a także profesora Antoniego Wajdowicza. I to nas cieszy, że coraz lepiej, coraz jaśniej w naszych głowach.

Czytelnik Krakusa z Dąbrowicy.

Grębów 3 Maja.

Grono nauczycielskie tutejszej szkoły urządziło dzisiaj w stuletnią rocznicę wiekopomnej konstytucyi 3 Maja skromny, lecz uroczysty obchód o godzinie 1-ej

popołudniu. W sali szkolnej zgromadzili się licznie włościanie, miejscowa inteligencya i P. T. panowie oficyaliści majątku Wgo Henryka Dolańskiego.

Kierownik czytelni ludowej w przemówieniu swem streścił krótko historyczny powód konstytucyi 3 Maja, wspomniał przy tem, że Krakowskie Tow. Oświaty ludowej, mając li tylko dobro ludu na celu, zakłada w kraju liczne czytelnie ludowe nie szczędząc grosza na zakupno pouczających w każdym kierunku książeczek, a nie zapomina przy tem o pięknych i wzniosłych naszych narodowych pamiątkach, polecając by je obchodzono w czytelniach ludowych. Odczytał potem parę ustępów książki o konstytucyi 3-go Maja wydanej nakładem Tow. Oświaty ludowej umyślnie dla czytelń ludowych, tak, by zgromadzony lud miał krótki a dokładny obrazek historyczny konstytucyi 3-go Maja. Następnie dzieci szkolne odśpiewały pięknie patryotyczny mazurek. Jeden z uczniów pięknie wygłosił wiersz Seweryna Goszczyńskiego *Trzeciego Maja*, poczem znowu odśpiewały dzieci szkolne na głosy patryotycznego krakowiaka: „Nad moją kolebką matka się schylała“ itd. Nakoniec kierownik czytelni ludowej podziękował licznie zgromadzonym włościanom i inteligencyi za wzięcie udziału w zgromadzeniu, celem uczczenia dnia, tak pamiętnego dla nas, który jest dumą i chlubą naszą narodową.

Franciszek Kozdraś
kier. szkoły.

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

W całej Galicyi uroczyście obchodzono setną rocznicę uchwalenia Konstytucyi 3-go Maja. Obchodzono ją poważnie nabożeństwami, odczytami i wreszcie ozdobieniem i oświetleniem domów na znak radości. Ze wszystkich stron donoszą *Krakusowi,* że włościanie brali czynny udział w tym narodowym obchodzie. I nic dziwnego, bo powinni oni czuć dla konstytucyi wdzięczność, a dlaczego? to już *Krakus* w przeszłym numerze wytłómaczył. A nie tylko idzie o samą wdzięczność, ale i o powinność każdego dobrego Polaka, aby święcił rocznice historyczne, które pociechę i radość przyniosły narodowi. Bo każdy piękny fakt zapisany w dziejach polskich, to dorobek wspólny nas wszystkich, a sława z niego spada na cały naród.

W Wielkopolsce pod Prusakiem także obchodzono uroczyście dzień 3-go maja, ale ponieważ rząd tam nie dozwala na głośniejsze objawy radości, przeto tylko podziękowano Panu Bogu w kościołach za to, że przed stu laty tak piękną rzecz pozwolił Polakom uchwalić, — i odczytywano po rozmaitych większych salach całą historyę, jak to konstytucyę przygotowano i jak ją uchwalono.

Biedni nasi bracia pod Moskalem nie mogli nawet tego uczynić. W samej Warszawie widziano tylko w tym dniu więcej jak zwykle ludzi po kościołach, a dosyć ich także zbierało się, ale nie tłumnie, w ogrodzie botanicznym, koło którego w dniu 3-cim maja 1792 roku, jako w pierwszą rocznicę uchwalenia konstytucyi, położono kamień węgielny pod kościół św. Opatrzności, który miał stanąć kosztem narodu na podziękowanie Panu Bogu za doprowadzenie do skutku chwalebnego dzieła konstytucyi. Przed tem miejscem zdejmowano czapki i rzucano zielone gałązki. Nie było jednak żadnego niepokoju i cały dzień przeszedł poważnie, za co Panu Bogu dziękować należy, bo za lekkomyślność kilkudziesięciu młodych a niedoświadczonych ludzi, mogliby pokutować wszyscy nasi bracia pod Moskalem będący.

Ponieważ rząd pruski pozwolił, ażeby nauczyciele udzielali po za lekcyami szkolnemi języka polskiego, przeto wszędzie w Poznańskiem myślą nad tem, jakby skorzystać z tej ulgi, jaką rząd Polakom uczynił. W mieście Strzelnie utworzył się komitet, który zwoła ojców rodzin, ażeby się zgodzili na wnoszenie dobrowolnego podatku, dla wynagradzania nauczycieli za naukę języka polskiego.

Ciekawa przed kilku dniami była rozprawa w parlamencie niemieckim. Posłowie polscy w mowach swoich wyrazili nadzieję, że rząd zniesie komisyę kolonizacyjną, którą to założył Bismark, aby wykupić za 100 milionów ziemi polskiej i osadzić na niej Niemców. Polacy mówili, że rząd mógł się już dobrze przekonać o dobrej woli Polaków dla państwa, boć przecież Polacy głosowali za wydatkami na cele wojskowe i zresztą niczego więcej się nie domagają tylko sprawiedliwości. Na to kanclerz Kapriwi, co teraz rządzi po Bismarku, odpowiedział, że rząd nie widzi potrzeby zniesienia komisyi kolonizacyjnej, bo zresztą Polaków w Poznańskiem, jak to widać ze spisu ludności, nie ubywa, ale owszem przybywa. Mówił on dalej, że wprawdzie Polacy głosowali za pieniądzmi na wojsko, ale też i rząd poczynił im ulgi co do polskiego języka, niech więc Polacy dadzą więcej dowodów, że są dobrymi obywatelami niemieckimi, to rząd ze swej strony dalsze inne ulgi poczyni, ale nie może im się od razu rzucać na szyję. Otóż nasi Polacy pod Prusakiem wcale nie potrzebują, aby ich pan Kaprywi *ściskał*, ale aby ich nie *uciskał.* Jeden z polskich posłów dobrze odpowiedział Kaprywiemu, że Polacy nie dlatego głosowali za pieniądzmi dla wojska, aby się rządowi podobać, lecz dlatego, że młody cesarz Wilhelm wyraźnie powiedział, że wszystkich poddanych będzie jednakowo sprawiedliwie traktował. Polacy więc wierzą słowu cesarskiemu, a

jeżeli ich prawa tak jak Niemców szanowane będą, to nic mieć nie mogą przeciwko sile wojskowej państwa.

Austrya. Jeszcze dotąd nie uchwalono adresu do cesarza. Lewicy nie podoba się taki adres, jak go napisał nasz poseł Biliński, dla tego też posłowie z lewicą dużo pewnie będą gadali i drogiego czasu tracili przy rozprawie adresowej.

Na posiedzeniu Rady państwa w dniu 7 Maja pytał się poseł Masaryk prezesa ministrów czy wie o tem, że z wychodźcami austryackimi, którzy wyemigrowali do Wirginii w Ameryce północnej, obchodzą się jakby z niewolnikami. Prezes ministrów odpowiedział, że za kilka dni da na to odpowiedź. *Krakus* w przyszłym numerze opisze co to donoszą z Wirginii, bo tam i Polaków jest dużo.

W komisyi budżetowej obradowano nad wydatkami na wojsko. Przy tej sposobności wyraziło wielu posłów życzenie, ażeby przy dostawach dla wojska popierano rolnictwo i drobny przemysł krajowy, na co minister wojny odpowiedział, że o tem nie tylko myśli ale nawet już przedsięwziął kroki, aby zadowolić życzenia pojedynczych krajów.

W kole polskiem postawił poseł Straszewski wniosek, aby sprzedawano tanio sól dla bydła i wogóle zniżono cenę soli, a poseł Hompesz aby przy rewizyi ksiąg gruntowych zmniejszono koszta dla stron. Poseł Chrzanowski popierał prośbę Rady powiatowej zbarażskiej, aby udzielono ludności wiejskiej tego powiatu, zubożałej wskutek dwuletniego nieurodzaju, 15000 złr. na zasiłki bezpowrotne i 15000 na pożyczkę bezprocentową, która użyta na roboty publiczne da zarobek ludności. Koło uchwaliło prośbę tę najsilniej popierać.

Niemcy. Prezes Szlązka Pruskiego zakazał wpuszczać robotników żydowskich z Królestwa Polskiego, ponieważ przekonano się, że oni nie szukają pracy w rolnictwie i przemyśle, lecz łżejszego zarobku.

Cesarz Wilhelm będąc w Dysseldorfie nad Renem wypowiedział mowę, w której zapewnił, że stara się o utrzymanie pokoju. Dalej mówił, że pracuje nad podźwignieniem przemysłu a świeżo podpisany traktat handlowy z Austryą dla obu państw będzie pożyteczny.

Francya. Minister wojny we Francyi wydał rozkaz, aby rozpoczęto roboty około zabezpieczenia brzegów morskich we Francyi na wypadek wojny. Dotąd przystępu do brzegów okrętom nieprzyjacielskim broniły tylko warownie (fortece) w niektórych miejscach pobudowane; teraz zaś obrona ma być zupełnie inna. Wzdłuż brzegów na lądzie wybudują mur długi, a przy nim zrobią drogę wygodną do przewożenia armat. Mur będzie tylko zasłaniał drogę przed okiem nieprzyjaciela, aby z okrętów nie widziano, gdzie stoją i dokąd przewożą armaty. Tym sposobem okręty nieprzyjacielskie nie będą śmiały zbliżać się do lądu i narażać siebie byle gdzie na kule i kartacze armatnie.

We Francyi i Belgii były liczne zamieszki w dniu 1-szym maja. Robotnicy tamtejsi postanowili już w zeszłym roku zaniechać w tym dniu pracy i zrobić z niego corocznie święto robotników. Pomiędzy właścicielami kopalni i fabryk w tych krajach, a robotnikami zawsze panuje nieporozumienie. Robotnicy chcą mniejszą ilość godzin pracować, a większe za pracę pobierać pieniądze. Mówią oni, że właściciel fabryki wielkie pieniądze zarabia, a oni, co na niego pracują, zaledwie mają żyć z czego. Gdyby to była zupełna prawda, to niktby robotnikom nie zaprzeczył słuszności. Ale zapominają oni, że kiedy jeden właściciel fabryki wzrasta w pieniądze, to drugiemu się nie szczęści i całkiem biednieje. Niejeden fabrykant miał duże pieniędze, założył za nie fabrykę, dał setkom lub tysięcom ludzi stały zarobek, sam ciężko pracował, a tymczasem nietylko nie przysporzył sobie majątku, ale i ten co go miał ciągle traci. Jakby takiemu wypadło jeszcze więcej płacić za robotę, toby niedługo nic nie miał, fabrykę by zamknięto, a i robotnicy zostaliby bez zarobku. A mało to już było takich, co całe swoje fortuny w przedsiębiorstwa włożyli, dali ludziom utrzymanie, a sami poszli o żebraczym kiju?

Ale robotnicy francuscy i belgijscy o tem wiedzieć nie chcą i domagają się przez hałasy, wyrządzanie szkody właścicielom i zaburzenia, większej płacy a mniejszej roboty. Prawda, że są pomiędzy nimi ludzie bardzo biedni, ale gdzież biednych nie ma na świecie? Jeden włościanin ma się dobrze a drugi źle; jeden nauczyciel nawet jakiś mały grosik sobie zaoszczędzi, a drugi, co ma dużo dzieci lub chorobę w domu, zapożyczy się, zbiednieje i niema kawałka chleba; tak samo rzemieślnik i urzędnik w mieście: jednemu idzie dobrze, drugiemu źle. Wszystkim na świecie nigdy dobrze nie było. Ale jakby każdy, co go gniecie bieda, chciał zaraz robić zaburzenia i niepokoje, toby się tylko ludzie kłócili, nawzajem niszczyli, a bodaj czy nie zabijali i byłaby gorsza bieda, niż jest teraz.

I cóż przyszło tym robotnikom, że robili we Francyi i Belgii zaburzenia? Oto musiało wojsko wystąpić, a kiedy robotnicy ustąpić nie chcieli, szkody wyrządzali i przez mowy do rozruchów namawiali, nastąpiło starcie z wojskiem i w wielu miejscowościach trupów i rannych była wielka liczba. Ot i życiem ludzie przypłacili swą lekkomyślność, a biedne ich rodziny jeszcze mniej teraz będą miały chleba i będą może żyły o żebraczym chlebie. Tak to nierozum i brak bojaźni Bożej doprowadza ludzi do nieszczęścia. Bo żeby się ci ludzie Boga bali, toby się nie łakomili na cudze i rozruchów nie czynili. Ci robotnicy, co ich nie słuchali, najlepiej wyszli i dziękują teraz Panu Bogu, że im dał rozum i opamiętanie.

Anglia. Anglia i Portugalia znowu pazury przeciw sobie wystawiają. Idzie o kraje leżące wewnątrz Afryki południowej. Anglicy zamierzyli je opanować, a Portugalczycy im bronią, bo brzeg morski naprzeciwko tych krajów jest oddawna pod panowaniem Portugalii. Już w roku zeszłym o mało nie przyszło z tej przyczyny do wojny, lecz Portugalia ustąpiła, obiecując, że pozwoli handlowym statkom angielskim płynąć rzekami od morza do tych krajów. Teraz jednak, gdy statki angielskie weszły w rzekę Pungwę dążąc do kraju Maszony, Portugalczycy ich nie puścili. Jeden statek został przez nich zatrzymany i zabrany, a inne zmykać musiały napowrót. Rząd portugalski tłómaczy się angielskiemu, że to się stało bez jego wiedzy i że każe przepuszczać okręty angielskie swobodnie; ale Anglia już temu nie ufa i wysyła ku ujściu rzeki Pungwy w Afryce trzy okręty wojenne.

Ziemia Ojczysta.

Nie pójdę ja z polskiej ziemi
Gdzieś po świecie szukać chleba,
Bo pracuję siły swemi
Mam go tyle co potrzeba.

Nie opuszczę swego sioła
Bom do niego przywiązany,
Me sumienie na mnie woła:
Zostań! boś tu wychowany.

Twój dziad, pradziad pracowali,
Dzieciom ziemię zostawili,
Prawa Boskie zachowali
I w bojaźni Bożej żyli.

To też Bóg im błogosławił
Na tej drogiej polskiej roli,
Bo wprzód Polak Boga sławił
I żył podług Jego woli.

Nie opuszczał swej ojczyzny
I nie chodził w obce kraje,
Lecz pilnował ojcowizny,
Bóg mu dawał urodzaje.

Teraz Polak co innego:
Zbrzydził sobie ojców rolę
I uchodzi z kraju swego,
By polepszyć swoją dolę.

Choćbyś nawet był za morzem,
Ty Polaku, bracie miły,
Nie dadzą tam chleba z nożem,
Tylko pracuj z całej siły.

Czy to lepsze obce kraje,
Niż ojczyzna nasza droga?
Przecież Bóg nam chleba daje,
Tylko pracuj i proś Boga!

Masz po ojcu zagon miły,
Tracić go ci nie potrzeba,
Ale pracuj z całej siły,
Nie braknie ci nigdy chleba.

Wincenty Motas z Grębowa.

Rady gospodarskie.

O uprawie kartofli czyli ziemniaków.

Chcąc zapewnić sobie stały i obfity pożytek z uprawy kartofli, musimy postarać się przedewszystkiem o taką ich odmianę (czyli jak mówią zwykle „gatunek“) który jest nietylko plenny i smaczny, ale wytrzymyje bez gnicia lata słotne, przyczem zwrócić należy uwagę na właściwość gruntu naszego, na rozmaity czas dojrzewania kartofli i na potrzebę zmiany nasienia.

Są bardzo dobre i plenne odmiany kartofli, które jednak obradzają tylko w roku suchym, w roku zaś mokrym chybiają zupełnie i narażają rolników na brak tego najważniejszego dla nich pokarmu; inne znowu chociaż często mniej plenne, wytrzymują wszakże dobrze wilgoć, więc takie jedynie sadzić należy, gdyż nie możemy wiedzieć na pewne, kiedy wypadnie rok suchy, a kiedy mokry.

Następnie, ponieważ przekonano się dostatecznie, iż te odmiany kartofli, które rodzą się dobrze na gruncie piaskowym i suchym, nie zawsze udają się na glinach lub rolach mokrawych, więc znowu dobierać trzeba takie, zawsze jednak wytrzymałe odmiany, które na gruncie naszym najlepiej rodzićby się mogły:

Dalej wiadomem jest także, iż pod względem czasu dojrzewania mamy odmiany wczesne, średnie i późne. Otóż wczesne są zwykle mniej plenne i mniej wytrzymałe, odmiany zaś bardzo plenne i wytrwałe należą zawsze do późnych. Trzeba więc sadzić kartofle wczesne w takiej tylko ilości, by wystarczyły do jedzenia w lecie, odmiany późne mają nam dostarczyć pożywienia na jesień, zimę i wiosnę.

Nareszcie nie podlega już żadnej wątpliwości, że wszelkie odmiany kartofli wyradzają się prędzej lub później i że zastąpić je trzeba znowu innemi, które uczeni rolnicy wyprowadzają z nasienia, łącząc kwiaty rozmaitych odmian, a następnie doświadczają ich wartości i podają do wiadomości gospodarzy, które z tych odmian okazały się jako najlepsze i na jakim gruncie sadzić je należy.

Dobranie zatem najodpowiedniejszej dla nas odmiany kartofli nie jest rzeczą zbyt łatwą, bo trzeba

czytać rozmaite ogłoszenia, wiedzieć którym z nich zaufać można na pewne, nareszcie sprowadzać te kartofle z dalszych okolic, a nawet z obcych krajów i płacić za nie dosyć drogo. Od tego są jednak Kółka rolnicze, którym donosi się o wszystkiem, co mniejsi gospodarze wiedzieć potrzebują i które sprowadzają dobre nasiona razem, a więc tańszym kosztem, rozmnażając je potem u siebie. Można również zasięgnąć wiadomości i nabyć kartofli w swoim lub sąsiednim dworze, jeżeli wiemy, iż tam dobrze rodzą się na takiej samej ziemi, jaką jest nasza, że są smaczne i wytrzymałe w latach słotnych.

Obecnie, wśród kilku tysięcy rozmaitych odmian kartofli, które są hodowane i doświadczane w tak zwanych „stacyach“ lub przez uczonych rolników zajmujących się tem z upodobania i dla pożytku ogólnego, ajwięcej są zachwalane jako smaczne, plenne i wytrzymałe odmiany: *Atheny i Anderssenу*. Pierwsze zyskały ogólne uznanie w Niemczech, u nas jednak mało są jeszcze znane. Anderssenу wypróbowane już zostały dosyć dawno w kraju naszym i sadzone są z dobrym skutkiem w wielu miejscowościach nawet na glinach, między innemi używają je także w Grodkowicach w powiecie bocheńskim gdzie udały się również dobrze także odmiany „Kornblume“ i „Matador“.

Pan Henryk Dołkowski z Nowej wsi (poczta Kenty) wyhodował kilka bardzo plennych i wytrzymałych odmian własnych, które odznaczone zostały medalem srebrnym na przeszłorocznej wystawie w Wiedniu. Mają one nazwy polskie a najplenniejsze z nich są:

Ziemowit,	białe,	dojrzewające	późno
Krakus,	białe,	„	średnio „
Szaraczek,	białe,	„	„
Piast,	czerwone,	„	„
Mazur,	białe,	„	średnio „

Co do gleby, jakiej wymagają kartofle, to rodzą się one wprawdzie najlepiej na ziemiach średnio lekkich, nie zbyt wilgotnych, głębokich i żyznych, udają się jednak dosyć dobrze na każdym gruncie należycie uprawionym i zasilonym, z wyjątkiem tylko bardzo ciężkich iłów i zupełnie lotnych piasków.

Sadzić je można po każdej roślinie gospodarskiej, a nawet kilka razy z rzędu po sobie, w którym to jednak wypadku należy zasilać mocniej ziemię. Kartofle znoszą wprawdzie świeży nawóz stajenny, dany na wiosnę przed samem ich sadzeniem, co czyni się często z konieczności, gdy nie możemy wywieść go i przyorać przed zimą, są jednak wtedy mniej smaczne, a w roku słotnym podlegają łatwiej gniciu; najlepiej więc sadzić je w drugim dopiero roku po nawiezieniu. Na nawozach zielonych, szczególnie zaś na przyoranym łubinie, rodzą się bardzo dobrze.

Ponieważ kartofle lubią ziemię dobrze i głęboko skruszoną, przeto orka dwu- lub trzykrotna, to jest pokład, radlanka lub odwrót i orka głębsza, powinny odbyć się już w jesieni, o ile być może z użyciem podskibowca przed samą zimą, na wiosnę zaś wystarczy jedna już orka lub dokładne zradlenie i zawleczenie. Na gruntach piaszczystych można dać dwie tylko orki przed zimą.

Po kartoflach siać można wszelkie rośliny wiośniane, z ozimin zaś tylko żyto i to po takich odmianach, które wcześnie z ziemi wybrane być mogą, gdyż zbyt późna siejba nie daje pewności dobrego plonu. Wprawdzie na piaskach jest się zmuszonym do zasiewania li tylko żyta po kartoflach, gdyż inne rośliny nie rodzą się na nich dobrze, należy jednak wybierać wtedy takie odmiany kartofli, które dojrzewają nie zbyt późno, ażeby zasiew żyta wykonać wcześnie. Pszenica ozima nie lubi być sianą po kartoflach, gdyż rola wtedy jest dla niej zanadto spulchniona.

Sposób sadzenia kartofli jest bardzo rozmaity. W gospodarstwach mniejszych, w których okopywanie odbywa się kopaczką ręczną, najlepiej sadzić je zwykłym sposobem w zagony. Na większych przestrzeniach, gdy mamy zamiar użyć do pomocy narzędzi konnych, a przynajmniej ogartywacza, należy unikać sadzenia za pługiem, gdyż kartofle leżą wtedy na ziemi twardej, zatrzymującej przeciekanie wody i przykryte są ziemią skibistą, wskutek czego kiełki nie łatwo dobywają się na wierzch, korzonki zaś nie mogą zagłębić się w twardej ziemi i cierpią przy zbytecznej wilgoci. Daleko lepiej jest robić rzędy znacznikiem po wierzchu roli uprawnej i dobrze zawleczonej, dając je w odległości od siebie około 24 cali, a położywszy na nich kartofle w odstępach 10-cio calowych, przykryć je ziemią, rozorywując obgartywaczem miejsca między rzędami, lub też kopaczką ręczną, wskutek czego powstają grobelki i bruzdy, któremi woda deszczowa odpływać może. Sposób ten sadzenia najkorzystniejszym jest na ziemiach ciężkich, przykrywać jednak należy kartofle dosyć wysoko, by nie zostały powyciągane przy późniejszem bronowaniu. Na roli lekkiej i suchej można porobić nieco głębsze bruzdy ogartywaczem, a posadziwszy w nich kartofle, rozorać utworzone poprzednio grobelki, wskutek czego sadzonki znajdą się znacznie głębiej i nie będą cierpieć z braku wilgoci. *(Dok. nast.)*

A. Lippoman.

NOWINY.

— Piszą do *Krakusa* z Baranowa: Dnia 19 kwietnia odbyło się w naszem miasteczku otwarcie czytelni, założonej przez krakowskie Towarzystwo „Oświaty ludowej“. Do licznie zgromadzonej publiczności, wśród której widzieliśmy miejscowych duszpasterzy, a także miejscową inteligencyę, przemówił W. ks. Józef Piekarzewski, który w wymownych słowach nacechował do-

bitnie znaczenie i cel czytelni, zachęcając zarazem do jak największego korzystania z tejże. Następnie przemówił w duchu patryotycznym Dr Teofil Bąkowski, a wreszcie kierownik szkoły Piotr Bara.

Stanisław Śleczek,
nauczyciel w Baranowie.

— Piszą do *Krakusa* z Wesołej: Krakowskie Towarzystwo Oświaty ludowej założyło czytelnię dla gminy Wesołej w pow. brzozowskim. Otwarcie jej odbyło się d. 19 kwietnia b. r. Po przemówieniu W. ks. A. Siraka miejscowego wikarego, nauczyciel a zarazem kierownik czytelni zdał sprawę z przebiegu otwarcia tejże. Również nadmienić winienem, że w tutejszej gminie od r. 1876 istnieje biblioteka parafialna założona przez W. ks. W. Mączkę, miejscowego proboszcza. *L. M.*

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie

podaje do powszechnej wiadomości w myśl §. 11 statutu gradowego

wykaz najwyższych cen, po jakich ziemiopłody w r. 1891 od gradu ubezpieczone być mogą:

		w powiatach					
		A. Biała, Bochnia, Brzesko, Chrzanów, Dąbrowa, Gorlice, Grybów, Jasło, Kolbuszowa, Kraków, Krosno, Limanowa, Myślenice, Mielec, Nowy Sącz, Nowy Targ, Nisko, Pilzno, Ropczyce, Tarnów, Tarnobrzeg, Wadowice, Wieliczka, Żywiec.		B. Brzozów, Cieszanów, Dobromil, Dolina, Drohobycz, Gródek, Jarosław, Jaworów, Kałusz, Lisko, Lwów, Łańcut, Mościska, Przemyśl, Rawa, Rzeszów, Rudki, Sambor, Sanok, Staremiasto, Stryj, Turka, Żółkiew, Żydaczów,		C. Bohorodczany, Bóbrka, Borszczów, Brody, Buczacz, Brzeżany, Czortków, Horodenka, Husiatyn, Kamionka Str., Kołomyja, Kosów, Nadworna, Podhajce, Przemyślany, Rohatyn, Skałat, Śniatyn, Sokal, Stanisławów, Tarnopol, Tłumacz, Trembowla, Zaleszczyki, Zbaraż, Złoczów, Bukowina.	
poz.	RODZAJ ZIEMIOPŁODÓW	poz.	złr. za 100 kilo	poz.	złr. za 100 kilo	poz.	złr. za 100 kilo
1	Żyto ozime	1	7·—	1	6·50	1	6·—
2	» jare	2	6·50	2	6 —	2	5·50
3	Pszenica ozima	3	8·50	3	8·—	3	7·50
4	» jara	4	8·—	4	7·50	4	7·—
5	Jęczmień	5	6·50	5	6·—	5	5·50
6	Owies	6	6·50	6	6·—	6	5·50
7	Hreczka	7	6·50	7	6·—	7	5·50
8	Kukurudza	8	6·—	8	5·50	8	5·—
9	Proso	9	6·50	9	6·—	9	5·50
10	Groch pospolity	10	8·—	10	7·50	10	7·—
11	Bób	11	6·50	11	6·—	11	5·50
12	Konopie włókno	12	22·—	12	20·—	12	19·—
13	Nasienie konopne	13	9·—	13	8·—	13	7·—
14	Len włókno	14	25·—	14	24·—	14	22·—
15	Nasienie lniane	15	11·—	15	10·—	15	9·—
16	Kartofle	16	1·50	16	1·20	16	1·—

Ceny ubezpieczone, a nie ceny targowe, będą służyć w razie gradobicia za podstawę wynagrodzenia. Wolno jest podawać do ubezpieczenia ceny niższe od wyżej oznaczonych; cen wyższych Dyrekcya do ubezpieczenia w myśl §. 11 Statutu przyjąć nie może.

Dyrekcya Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń w Krakowie.

Z. Słonecki. ***M. Łepkowski.*** ***H. Kieszkowski.***

W Krakowie, w drukarni „Czasu“ Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.